

665

Zapiski
z kwartalnym
opóźnieniem



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

16

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

iki

„Idź, szuka

WIĘZ

WARSZAWA, ul. Kopernika 34

Tuż przed wyjazdem do
tece Poetów LSW „Poezje w
na chybił trafił przeczytałem

wydanie

6

-06-84

Nr

z dn.

blio-
ażkę

*Noc rozwieja ko
noc na nowiu, wi
- Powiedz, jak u
z Sulli proskrypc*

*Trąby
- Jak uszedłeś ży
Jakim prawem żyjesz, mów!
Konie,
grzywy
i szczęśliwy
traf
i szkoda słów*

Nie uszedł żywy, uszedł nieżywy, to już sześć lat, jak z wysiłkiem łapiąc dech kończyłem przemówienie nad jego trumną, a przez ten czas niespokojny – spokojnie zestalala się uroda jego wierszy, aż w tym tomiku, ułożonym przez przyjaciela (czy nie za jednostronnie przekładającego późnego Dąbrowskiego nad owego chłopca, który z naiwną żarliwością ścigał był po morzach wyobraźni swoją Kolchidę?), zestalila się – nie w grobowiec, nie w pomnik – w drzewo szumiące, jedno z tych drzew, których tyle po jego wierszach, i kiedy to drzewo, brzoza, wierzbą, topola, rozłożyło gałęzie nad odpoczywaniem poety, ostatecznie dopełnił się jego pogrzeb, jego przejście od życia do innego życia.

W Krakowie, na „Antygonie“ w Starym Teatrze – zachwycony, porwany, zagarnięty przez wysoką, świetlistą falę, do końca nie wiedziałem, kto się we mnie zachwyca i wzrusza: po prostu widz teatralny, miłośnik sztuki, czy – tkwiąca w każdym z nas Antygoną, zaszczepiona świadomości każdego współmieszkańca tej przestrzeni kulturowej, jak kilka jeszcze postaci z Antyku, Biblii i późniejszych wielkich epok literatury, jak Hiob i Odyseusz, Święty Paweł i Hamlet, czy zatem nie przypatruję się, nie przeżywam, pozbawiony, być może, w tym drugim wypadku – z zaciętą i zbuntowaną córą Edypa w sobie – zdolności obiektywnego osądu. Ale to nieprawda, w rzeczywistości właśnie to, że jesteśmy zaludnieni wewnętrznie przez wszystkie te postacie i sytuacje, umożliwia nam w ogóle

665

Zapiski z kwartalnym opóźnieniem

Wiktor Woroszyński

„Idź, szukaj Antygon”

Tuż przed wyjazdem do Krakowa otrzymałem wydane pośmiertnie w Bibliotece Poetów LSW „Poezje wybrane” Witolda Dąbrowskiego i otwierając książkę na chybił trafił przeczytałem zapomniane zwrotki ze zbioru „Arrasowanie”:

*Noc rozwiewa koniom grzywy,
noc na nowiu, wichru świst...
– Powiedz, jak uszedłeś żywy
z Sulli proskrypcyjnych list?*

.....
*Trąby
– Jak uszedłeś żywy?
Jakim prawem żyjesz, mów!
Konie,
grzywy
i szczęśliwy
traf
i szkoda słów*

Nie uszedł żywy, uszedł nieżywy, to już sześć lat, jak z wysiłkiem łapiąc dech kończyłem przemówienie nad jego trumną, a przez ten czas niespokojny – spokojnie zestalała się uroda jego wierszy, aż w tym tomiku, ułożonym przez przyjaciela (czy nie za jednostronnie przekładającego późnego Dąbrowskiego nad owego chłopca, który z naiwną żarliwością ścigał był po morzach wyobraźni swoją Kolchidę?), zestalała się – nie w grobowiec, nie w pomnik – w drzewo szumiące, jedno z tych drzew, których tyle po jego wierszach, i kiedy to drzewo, brzoza, wierzbą, topolą, rozłożyło gałęzie nad odpoczywaniem poety, ostatecznie dopełnił się jego pogrzeb, jego przejście od życia do innego życia.

W Krakowie, na „Antygonie” w Starym Teatrze – zachwycony, porwany, zagarnięty przez wysoką, świetlistą falę, do końca nie wiedziałem, kto się we mnie zachwyca i wzrusza: po prostu widz teatralny, miłośnik sztuki, czy – tkwiąca w każdym z nas Antygoną, zaszczipiona świadomości każdego współmieszkańca tej przestrzni kulturowej, jak kilka jeszcze postaci z Antyku, Biblii i późniejszych wielkich epok literatury, jak Hiob i Odyszeusz, Święty Paweł i Hamlet, czy zatem nie przypatruję się, nie przeżywam, pozbawiony, być może, w tym drugim wypadku – z zaciętą i zbuntowaną córą Edypa w sobie – zdolności obiektywnego osądu. Ale to nieprawda, w rzeczywistości właśnie to, że jesteśmy zaludnieni wewnątrz przez wszystkie te postacie i sytuacje, umożliwia nam w ogóle

istnienie w kulturze, i to, co w nas solidarnie utożsamia się z Antygoną (która, notabene, swoim „współkochać przyszłam, nie współnienawidzić” w zdumiewający sposób zdaje się wykraczać poza grecką starożytność; nie przypadkiem do słów tych nawiązał chrześcijanin Bonhoeffer – jak przypomniał mi przyjaciel, gdyśmy wychodzili z teatru), to zatem, co w nas jest Antygoną, co wyrwa się naprzeciw jej racji, co u jej boku walczy i ginie, nie przeszkadza, lecz sprzyja estetycznemu i etycznemu odbiorowi sztuki Sofoklesa. Sofoklesa – czy kolejnych inscenizatorów, a tym razem Andrzeja Wajdy? Cokolwiek Wajdzie można zarzucić, cokolwiek, tu jest dyskusyjnego, nie należy on do teatralnych pyszałków, robiących miazgę z literatury i nie tyle odczytujących dzieło, co posługujących się jego elementami dla nie mających z nim wiele wspólnego i niekiedy trudno uchwytnych celów. Zdarza się, że w sposób zaskakujący, tak ostry, tak intensyfikujący znaczenia, że trudny do przyjęcia dla przywykłych do lektury łagodniejszej, bardziej umiarkowanej, ale Wajda odczytuje to właśnie dzieło, nie żadne inne, pozostaje w jego obrębie, idzie w głąb, wzwyż, nie poza nie. Tak jest i z krakowską „Antygoną”, klarowną, dynamiczną, nie muzealną, „współczesną” w tym sensie, że rozumiałą, mówioną językiem, który nie wznosi dodatkowych przegród między aktorem a widzem (znakomity nowy przekład Stanisława Hebanowskiego), wspartą muzyką nieobcą współczesnemu słuchowi (Stanisława Radwana), zrealizowaną w kostiumach i scenografii (Krystyny Zachwatowicz), nie silącej się na odtworzenie umownej starożytności tebańskiej, lecz apelującej do naszej synkretycznej świadomości kulturowej, w której współistnieć mogą na przykład fragmenty strojów z różnych epok, aluzje do różnych mód (najnowszej nie wyłączając) współistnieć i współdziałać odwieczną ludzką namiętność i morderczy konflikt. Będąc w tym sensie współczesną, „Antygoną” Wajdy pozostaje Sofoklesową w istocie przedstawionych wydarzeń, w ich etosie i skali, w roli przeznaczonej każdemu z protagonistów tragedii. To, co ponadto – to nadwyżka zbiorowego doświadczenia, procent od stuleci historii, który żywym z nią świadkom (niekoniecznie bezpośrednim) pogrzebów i beczeszczącego włóczenia zwłok, ekshumacji i demonstracji, mającym w oczach, ot, choćby żałobne pochody matek na Placu Majowym w Buenos Aires, Wajda wyplaca dobrą monetą teatru: pomnożeniem znaczeń, nie prowadzącym wszakże do ich nadmiernej migotliwości. Kiedy na przykład Posłaniec (posągowa Agnieszka Mandat) wygłasza swoje komunikaty z ostantacyjną monotonią, bez kropek i przecinków, z miejsca zdajemy sobie sprawę: to depesza agencyjna, czyli obojętność środków przekazu – i założony brak ekspresji staje się w tym wypadku ekspresją najbardziej sprzyjającą dotarciu do nas tego nieobojętnego, co depesza przynosi.

Spśród trzech protagonistów tragedii: Kreona, Antyfony i Chóru – dwoje pierwszych ujęto nieomal tradycyjnie. Tyle że Antygoną od początku czyni to co zamierzyła (i mówi co ma do powiedzenia) w tonacji o nutę wyższej niż większość wykonawczyń tej roli, jest zatem mniej elegijna, bardziej buntownicza i agresywna. Można się w tym dopatrzeć pociągu Wajdy do takich właśnie postaci kobiecych – proszę sobie przypomnieć bohaterkę „Człowieka z marmuru” i jej ostrość, przebojowość, jakby nie dziewczęczą zgoła, niejednego szokowało to wówczas, było zaś wspaniałym odkryciem pewnej psychologii pokoleniowej, wyrażonej przez pewien wygląd i zachowanie, a zarazem, co widać z dalszej perspektywy, sygnałem, zapowiedzią czegoś o ogólniejszym znaczeniu. To wtedy Krystyna Janda (pierwszy raz na ekranie) urzekła mnie jako aktorka naszej epoki – i urzeczenie to trwa do dzisiaj. Ani mi w głowie przymierzanie lub wrócenie, czy Ewa Kołasińska (kra-

kowska Antygoną) stanie się – co nietatwe – osobowością sceniczną na miarę Jandy, widzę natomiast pokrewieństwo tych ról wyreżyserowanych przez Wajdę: poruszającą nimi upartą determinację, niezgodę na łamanie prawa moralnego silniejszą niż rozpacz, prostolinijną, manifestowaną bez osłonek i zahamowań, bez względów dla tych, którzy do takiej niezgody nie dorastają. Antygoną – to nie szloch, lecz krzyk; to ładunek, który musi wybuchnąć. Może istotnie u źródeł podobnego ujęcia tkwi upodobanie reżysera do określonego charakteru kobiecego, ale dostrzegłbym w tym i coś większego: intuicję artysty, czulego na aureę historyczną, na melodię czasu, na styl istnienia wchodzących w życie pokoleń. Pozostając Sofoklesową – Antygoną dzisiaj musi być taka.

Solidaryzując się – wraz z reżyserem – z Antygoną w nas i na scenie, nie jesteśmy przecież głusi na argumenty Kreona i jego dramata. To prawda, jest w nim odpychające zadufanie i okrucieństwo władcy, zaślepiona wiara władcy, że jego prawo unieważnia prawo moralne i boskie, niezdolność zrozumienia motywów kogokolwiek, kto mu się sprzeciwia, szaleństwo władcy, obsesyjnie wietrzące w każdym oporze czy odmienności opinii – płatną agenturę nieprzyjaciela. Nie mam dostępu do przekładu Hebanowskiego, muszę cytować Kazimierza Morawskiego, w jego tedy przekładzie mówi Kreon do Chóru o wszelkim „niesfornym”:

*Tak! śmierć go czeka! Lecz wielu do zguby
Popchnęła żądza i zysku rachuby.*

Do Strażnika, który doniósł, że ktoś, wbrew rozkazowi Kreona pogrzebał Polinika:

*Ludzie już dawno przeciw mnie szemrając
Głową wstrząsali i jarzmem ukrycie
Przeciw mym rządóm i mojej osobie.
Wiem ja to dobrze, że za ich pieniądze
Straże się tego dopuścili czynu.*

Nawet czcigodny Tereźjasz (Jerzy Bińczycki), ledwie tylko objawi Kreonowi niedobłą wróżbę i poradzi, żeby cofnął się z niebezpiecznej drogi, usłyszy popędliwe:

*Potknąć się mogą i ludzie przemądrzy,
Starcze, haniebnie, kiedy szpetne myśli
Ubiorą w słowa barwiste... dla zysku.*

I ponownie:

Bo cech wasz cały łapczywy na zyski.

Trudno więc z Kreonem sympatyzować, a jednak – i on ma swoje racje, strzeże wszak jedności Teb, porządku, silnej władzy, bez której miasto się nie oстане, a w jego rozkazie odrębnego potraktowania zwłok obydwu braci, którzy ze sobą walczyli – pochowania z honorami Eteokla, obrońcy miasta, oraz rzucenia psom i ptakom Polinika, jego najeźdźcy – jest jakieś pojęcie sprawiedliwości, próba wymierzenia sprawiedliwości („dzielnemu równość ze złym nie przystoi”), nie do łatwego zlekceważenia. I teatr obdarzając racjami i pojęciami Kreona takiego aktora, jak Tadeusz Huk, tym bardziej nie ułatwia nam ich zignorowania. Do tragicznego finału – zgodnie z przenikliwą wiedzą Greków o mechanizmie świata –

doprowadzi więc nie samo zaciętrzewienie i szaleństwo władcy, lecz mieszanina jego wad i zaślepień z autentycznymi racjami i koniecznościami. (Spotkałem się nawet ze zdaniem, że teatr przesadnie wypuklił dramat Kreonà i wysunął go na plan pierwszy.) A jednak, jeszcze raz a jednak – *A jednak Hades pożąda praw równych* – odiera Antygona małoskłą sprawiedliwość władcy, i po swojemu wtóruje jej zdesperowany Hajmon, i żali się Ismena, i pada ważkie słowo Terejasza, i Chór, czyli Lud bynajmniej nie milczy, a my, widzowie (czy mam prawo do liczby mnogiej? czy nie powinienem ostrożniej: ja, widz?), choćbyśmy nie wiem jak współczuli Kreonowi, nie potrafimy się z nim utożsamić, bo racja królów nie jest naszą racją, a pozostaje nią – racja tych innych... Sztuka wszakże zrobiła swoje: utrudniła nam, skomplikowała to nieutożsamienie z tragicznym bohaterem...

Chór, czyli Lud. W ujęciu Chóru Wajda najdalej odszedł od tradycji, a nawet od określenia, jakie czytam w leżącym przede mną wydaniu Sofoklesa: „chór starców tebańskich”. W tym przedstawieniu Chór składa się z osób różnego wieku i płci, i występuje w różnych wcieleniach, odpowiadających biegowi sztuki: to wojsko wracające ze zwycięskiej wojny, przypochlebiająca się władcy urzędniczo-mieszczkańska gawłędź, manifestacja uliczna w obronie skazanej Antygony, gromada proletariuszy w kufajkach i hełmach ochronnych... Komentując akcję, Chór modyfikuje swój stosunek do niej, czego można było nie zauważyć, kiedy wszystko rozplywało się w jednakim hieratycznym zaśpiewie, a co Wajda fortunnie wydobyl na jaw. Po raz pierwszy w wystawionej współcześnie tragedii greckiej odebrałem Chór nie jako martwy i nużący ornament, lecz jako żywego uczestnika akcji, mającego mi coś do powiedzenia o niej i o sobie.

Wyszedłem z teatru, a za jego progiem czekało życie, a w nim także umieranie, nie w bitwie, nie pod murami miasta, zwyczajne (o ile takie bywa), ledwie dzień minął, a dowiedziałem się o zgonie Lecha Bądkowskiego, pisarza i społecznika, rogatej duszy, i powtórzyłem tę wiadomość ludziom w kościele, w którym czytałem wiersze i odpowiadałem na pytania, to nie było już w Krakowie, tylko w Lublinie, i Ksiądz rzekł: pomódlmy się za jego duszę...

A kiedy wróciłem z Gdańska, z pogrzebu (pochowaliśmy Lecha w pięknym lesie mieszanym, porastającym wzgórze, a za trumną szły śpiewając tysiące ludzi), tomik Witolda leżał jeszcze na stole i tym razem otworzył mi się na wierszu „Tower” sprzed ćwierć wieku, na jego ostatnich liniijkach:

*Niech się przedłuży minuta milczenia.
Gest, gest znaczący nieznaczącej dłoni.
Wymiar tragizmu im i nam odjęto.
Dobrze, że jesteś przy mnie, przyjacielu.
Idź, oto świeca, idź, szukaj Antygon.*

Wiktor Woroszyłski